



BO CHCESZ BYĆ

IZA MACIEJEWSKA

BO
CHCESZ
BYĆ

BO CHCESZ BYĆ

I Z A M A C I E J E W S K A

Ścieżek w życiu jest wiele. Ty decydujesz, którą podążysz.



Jeśli coś ma się wydarzyć, to się wydarzy. Nie zmuszaj życia do tego, aby ci wiernie służyło i spełniało twoje zachcianki. Nie zawsze to, czego chcesz, jest tym, czego tak naprawdę potrzebujesz.

Rozdział pierwszy



Obudziłam się z krzykiem. Wymacałam dłonią kabel od stojącej na stoliku lampki i nacisnęłam pstryczek, a potem z jękiem opadłam na poduszkę. Przymknęłam powieki, starając się zapanować nad oddechem. Położyłam też dłoń na sercu. Biło tak szybko, że moim zdaniem istniało prawdopodobieństwo, że lada moment wyrwie mi się z piersi. Kiedy na powrót otworzyłam oczy, czułam się tak, jakby wszystko wokół mnie poruszało się z zawrotną prędkością. Od tego złudzenia zaczęło mi się trochę kręcić w głowie. Zaszło mi też w gardle. Przez chwilę w moim ciele toczyła się walka pomiędzy prężną chęcią ponownego zamknięcia oczu a potrzebą zaspokojenia pragnienia.

– Weronika, to był sen – wyszeptałam, patrząc na sufit. – To był tylko zły sen.

Wypowiedziałam to zdanie kilka razy, żeby się z nim oswoić. Odrzuciłam kołdrę, powtarzając w myślach, że nie mam w pokoju szafy, w której mogłyby siedzieć potwory z mojego koszmaru. Natomiast przekorny głos w głowie przypominał mi, że brak tego mebla to żaden problem, bo te potwory mogą przecież siedzieć na fotelu albo chować się w walizkach, wśród moich ubrań. Wolałam jednak, żeby ich tam nie było.

W ciągu ostatnich sześciu lat przeprowadzałam się, o ile pamięć mnie nie myliła, siedem razy. Po raz pierwszy jednak trafiłam na lokal bez szafy. W ogóle to miałam nieprawdopodobnego pecha do tych mieszkań. Raz trafiłam na parę, która już pierwszego dnia zaproponowała mi trójkąt. Wyprowadziłam się szybciej, niż wprowadziłam. Potem pokój wynajmowała mi miła starsza pani, ale zmarła niecały miesiąc po tym, jak u niej zamieszkałam. Bardzo długo trwałam w poczuciu winy, że przyczyną jej śmierci był zawał wywołany tym, że mój wibrator zawieruszył się w rzeczach do prania, a ona go znalazła i się wystraszyła. Było też mieszkanie, które wymagało remontu po zalaniu, więc w trybie natychmiastowym musiałam sobie poszukać czegoś innego. Ale i tak największym hitem było wynajmowanie pokoju od Tadeusza. To był człowiek do rany przyłóż. Chyba od nikogo nie usłyszałam tylu pocieszających serce historii co od niego. Teraz wiem, że wszystko, co mi opowiadał, to były najprawdopodobniej bujdy na resorach. Ale i tak wspominam go z ogromnym sentymentem. Tadeusz wynajmował mnie i dwóm innym dziewczynom pokoje w ponadstumetrowym apartamencie znajdującym się w kamienicy w centrum miasta. Mieszkanie wyglądało obłędnie – jakby ktoś żywcem wyciągnął je z Instagrama i pozwolił nam w nim zamieszkać. Mniej więcej po pół roku prawdziwi właściciele wrócili z zagranicy i okazało się, że nasz kochany gospodarz jest włamywaczem, który postanowił skorzystać z okazji i pobawić się w pośrednika nieruchomości. Policjanci też nie mogli w to uwierzyć. Potem było względnie spokojnie. Z ostatniego mieszkania musiałam się wyprowadzić w równie dziwnych okolicznościach co z tego Tadeuszowego apartamentu, zostało ono bowiem zlicytowane przez komornika wraz z niczego nieświadomymi

lokatorami. Przy tym wszystkim, co mnie spotkało w poprzednich lokalizacjach, brak szafy w obecnej wcale mi nie doskwierał.

Wyszłam z pokoju, zważając na to, żeby być cicho i nie obudzić mojej współlokatorki i zarazem właścicielki mieszkania, Mileny. Nim podpisałam z nią umowę, pokazała mi akt własności, więc mogłam spać względnie spokojnie. No okej... dziś akurat trudno było o spokojny sen. Weszłam do kuchni, otworzyłam lodówkę i wyjęłam z niej butelkę z przefiltrowaną wodą. Wypiłam od razu połowę zawartości. Odstawiłam ją z powrotem na półkę i zamknęłam drzwiczki. Chciałam oprzeć głowę na gładkiej tafli, ale nie było mi to dane.

– Jezus Maryja! – wrzasnęłam na widok postaci, która zmaterializowała się przed moimi oczyma, niczym w jakimś horrorze. Środek nocy, zamykasz lodówkę i nagle widzisz za jej drzwiami kogoś, kogo na pewno nie było tam wtedy, kiedy zabierałaś się do ich otwierania. – Milena! Co ty odwalasz?! Chcesz, żebym zeszła na zawal?

– Wyczuwam dziwną energię – powiedziała moja współlokatorka i zaczęła machać mi przed twarzą dłońią, w której trzymała dymiącą szalwią. W moje nozdrza wdarł się specyficzny aromat. – Czemu znowu się darłaś przez sen? – zapytała, cały czas machając mi przed oczyma kadzidłem.

Miała na sobie bardzo kolorową sukienkę, a wokół niej roznosił się orientalny, delikatnie cytrusowy zapach wymieszany z wonią szalwii. Zapewne wcale nie spała. Pewnie medytowała, przywoływała duchy czy coś w tym stylu.

– Wcale nie znowu – obruszyłam się.

– Znowu. Trzeci raz w tym miesiącu.

Odebrałam jej słowa tak, jakby miała mi za te niedogodności doliczyć coś do opłaty za wynajem pokoju.

– Miałam zły sen – powiedziałam, a ona najpierw popatrzyła mi w oczy, a potem przeniosła wzrok ponad moją głowę. Odruchowo spojrzałam na sufit. Nie zobaczyłam tam żadnego ducha, którego ona prawdopodobnie widziała. Ale możliwe, że za chwilę wmówi mi, że coś tam jest.

– Poczekaj tutaj! – wykrzyknęła.

Przy tak cienkich ścianach, jakie były w tym bloku, i o godzinie czwartej trzydzieści nad ranem nie było to moim zdaniem właściwe zachowanie. Pewnie z samego rana sąsiedzi mnie w tym utwierdzą. Po chwili wróciła. Trzymała w dłoni karty. Cholera, pomyślałam, tylko nie to. Milena była zafiksowana na punkcie zjawisk paranormalnych, ezoteryki i innych tego typu głupot. Znałam ją od blisko dwóch miesięcy i wiedziałam, że ludzie przychodzą do niej, żeby im powróżyła. Byłam w szoku, że ktoś w ogóle wierzy w te bzdury. I z własnej woli płaci jej za to, żeby przepowiadała mu przyszłość. O dziwo jednak, do tej pory nie zaproponowała mi wróżenia, co wcale nie wpływało źle na moje samopoczucie. Niemniej i tak co nieco wiedziałam, bo traktowała mnie jak wolnego słuchacza – ilekroć trafiła się ku temu okazja, mówiła o różnych dziwnych rzeczach. Ostatnio zafascynowały ją reinkarnacje i zalewała mnie opisami historii, w których to małe dzieci opowiadały o tym, jak kiedyś, w innych wcieleniach, umarły albo jak rozmawiały z kimś, kto już nie żył. Słuchałam tych wszystkich rewelacji, jedynie kiwając głową, ale trzeba przyznać, że kilka razy włosy stanęły mi dęba. Z wrażenia, ma się rozumieć. No bo jak przejść obojętnie wobec opowieści o zrozpaczonej matce oplakującej samobójstwo nastoletniego syna, którą w tym samym czasie jej młodszy, czteroletni syn informuje, że jak ona się powiesiła w poprzednim życiu, to nie obchodziło ją to, jak będą się

czuć jej bliscy? Między innymi on. Takich i podobnych opowieści usłyszałam naprawdę wiele. Nie podawałam jednak w wątpliwość żadnej z nich, bo nie miałam pojęcia, jaka byłaby reakcja Mileny na mój kompletny brak wiary w jej słowa. Mógł nią być na przykład wilczy bilet, a ja naprawdę, nawet pomimo braku szafy i specyficznego zachowania mojej współlokatorki, czułam się tutaj dobrze.

– Przełoż. – Milena podsunęła mi pod nos talię kart.

Wahałam się tylko przez chwilę, a potem zrobiłam, co chciała, bo z jej miny wywnioskowałam, że jeśli tego nie zrobię, ona nie da mi spokoju. Usiadła przy stole i zaczęła rozkładać karty, podczas gdy ja stałam i na nią patrzyłam.

– Masz bardzo ciekawe ścieżki losu. Wręcz fascynujące. Dawno takich nie widziałam – powiedziała i podrapała się po brodzie, wpatrując się w rozłożone przed sobą karty. – Usiądź, proszę. – Wskazała na krzesło po swojej lewej stronie.

– Jest naprawdę późno, a ja za kilka godzin wstaję do pracy – powiedziałam i zerknęłam w stronę swojego pokoju.

Ależ żałowałam, że tutaj przyszłam. Trzeba było zacisnąć powieki, zaspokoić pragnienie przełknięciem śliny i spróbować zasnąć. Zamiast tego będę tutaj tkwiła nie wiadomo ile.

– Naprawdę? – zapytała Milena, patrząc na mnie jak na kogoś, kto nie ma pojęcia, o czym mówi, a potem spojrzała na karty, jakby chciała się w tym upewnić. I znowu popatrzyła mi w oczy. – Bo ja tutaj widzę, że ty już nie masz pracy – powiedziała i wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, że mam pracę! – Tym razem to ja podniosłam głos. – Jestem dziennikarką! – Co prawda trochę mijałam się z prawdą, ale ona nie musiała tego wiedzieć. – Mam pracę – powtórzyłam już nieco spokojniej.

– Skoro tak twierdzisz... – Milena uśmiechnęła się półgębkiem, co, nie wiedzieć czemu, cholernie mnie poirytowało. – No ale widzę też tutaj inne bardzo ciekawe rzeczy – powiedziała, wgapiając się w rozłożoną na stole talię. – Wiem, że się powtarzam, ale serio, dawno nie widziałam takiego labiryntu życiowych ścieżek. Usiądź, proszę.

Spojrzała na mnie swoimi zmrużonymi oczyma i kiwnęła głową w stronę krzesła. To był taki rodzaj zmrużenia i taki rodzaj kiwnięcia, które nie przyjmowały odmowy, mimo to nie miałam zamiaru brać udziału w tej farsie.

– Nie będę słuchać tych bzdur! – wybuchłam. – W przeciwieństwie do ciebie ja za kilka godzin wstaję do mojej prawdziwej pracy, więc daj mi, z łaski swojej, spokój z tymi idiotyzmami! Mieszkam tutaj, płacę za czynsz, ale nie muszę się z tobą spoufalać, więc się ode mnie odczep!

Doskoczyłam do stołu i zrzuciłam z niego karty. Kilka zostało na blacie, pozostałe leżały na kolanach Mileny i pod stołem. Nie miałam pojęcia, dlaczego to zrobiłam. I wcale nie czułam się tak, jakby jakaś niewidzialna siła, na którą mogłabym rzucić winę za moje nadpobudliwe zachowanie, prowadziła mnie za dłoń. Tak po prostu miałam – czasem odcinało mi myślenie i kierowałam się emocjami.

– Porozmawiamy, jak się uspokoisz. Jutro – powiedziała bardzo opanowanym głosem Milena i zaczęła zbierać porozrzucone prostokąci.

Tymczasem ja pobiegłam do swojego pokoju. Zamknęłam za sobą drzwi i rzuciłam się na łóżko. Obok mnie położył się wstyd i zaczął głaskać mnie po głowie, sprawiając tym samym, że odczuwałam go jeszcze mocniej. Jezu, co ja najlepszego narobiłam? Co we mnie wstąpiło? Znowu będę musiała szukać sobie mieszkania. Jestem beznadziejną lokatorką.

Jestem najbardziej beznadziejnym człowiekiem na tym świecie. Chciałam iść do Mileny i ją przeprosić, a zarazem bronić się przed tym z całych sił. Pomyślałam, że zamknę na chwilę oczy i się uspokoję, a jak je otworzę, to do niej pójde i wytłumaczę się ze swojego zachowania.

Obudził mnie dźwięk budzika i utwór Pink Floyd *Wish You Were Here*. Nastawiłam drzemkę. Potem kolejną i jeszcze jedną. Przy szóstej byłam już w stanie nawiązać kontakt z otoczeniem i zwlec się z łóżka, aczkolwiek mój układ nerwowy z samego rana nie przyjmował do wiadomości, że MUSZĘ wstać. W moim przypadku droga od otwarcia oka do wstania z łóżka była naprawdę bardzo długa. Pokonałam ją w dwadzieścia minut. Wiosna, która szalała już w pełnej krasie i temperaturze nieco ponad dwudziestu stopni, pozwoliła mi założyć białą jedwabną koszulę w drobne kropki i jeansową sukienkę ogrodniczkę na bardzo cienkich ramiączkach. Do tego czarne mokasyny na grubej podeszwie oraz milion dodatków w postaci bransoletek, pierścionków, naszyjnika, z którym się nie rozstawałam, i oczywiście mojej ukochanej czerwonej torebki Pinko. Okej, akurat dziś to ona była ukochana. Gdybym nie chciała poświęcić całego swojego świata pisanii, bawiłabym się modą. Wszystkie lumpeksy w tym mieście stały przede mną otworem. Miałam w szafie ciuchy i dodatki warte kilkaset złotych, a nawet takie przekraczające kilka tysiąków. Kupowałam je za grosze z drugiej, czasem trzeciej ręki, co napawało mnie dumą. Nim wyszłam, zostawiłam na stole w kuchni kartkę, na której napisałam „Przepraszam”. Jednak kiedy znalazłam się na klatce schodowej, cofnęłam się i wróciłam do mieszkania, żeby dopisać „BAR-DZO”. Miałam nadzieję, że Milena nie wyrzuci mnie z domu. Ledwo wyszłam z bloku na chodnik, mój humor się poprawił.

Łódź. Ależ ja lubiłam tutaj mieszkać. Przyjechałam do tego miasta sześć lat temu. Chciałam studiować dziennikarstwo. Można powiedzieć, że uciekłam z Wrocławia, żeby zapomnieć o przeszłości i zacząć wszystko od nowa tam, gdzie mnie nie znają. Nieprzypadkowo padło na Łódź. Moja najlepsza przyjaciółka Sylwia chciała studiować aktorstwo na tutejszej filmówce. Przyjeżdżając właśnie tutaj, święcie wierzyłam, że ją w ten sposób uhonoruję, chociaż moje przemądzałe poczucie winy mówiło mi, że zamieszkanie w Łodzi było zaledwie marną namiastką rekompensaty za niespełnienie danego jej słowa. Jeśli można darzyć emocje uczuciami, to ja czułam ogromną niechęć do mojego sumienia. Sylwia poprosiła mnie przed śmiercią, żebym opiekowała się jej rodziną. Nie mogłam tego zrobić. Po prostu nie mogłam.

Pomimo tego, że praktycznie od razu poczułam się dobrze w nowym mieście, to przez te sześć lat nie było dnia, w którym moje myśli nie uciekłyby do Damiana, najstarszego brata Sylwii. To z nim całowałam się po raz pierwszy. To z nim przeżyłam swój pierwszy raz. To z nim chciałam spędzić resztę życia. Tylko że on mnie nie chciał, więc był również moim pierwszym miłosnym rozczarowaniem, którego nadal nie potrafiłam przeboleć. Wrocław – moje rodzinne miasto – kojarzył mi się ze stratą, bólem i tęsknotą za czymś, czego już nigdy nie doświadczę. Chodziło głównie o rodzinę Radomskich. O Sylwię i Damiana. Wyjechałam, tłumacząc to sobie w taki sposób, że muszę, po prostu muszę postawić na siebie. A w tym przypadku stawianie na siebie równało się odcięciu od przeszłości.

Ucieczce.

Złożyłam podanie o przyjęcie na Uniwersytet Łódzki. W zasadzie decyzję o wyjeździe podjęłam już wcześniej, ale

tak naprawdę odważyłam się to zrobić dopiero wtedy, kiedy dostałam informację, że jestem na liście studentów dziennikarstwa. Tuż przed opuszczeniem Wrocławia spakowałam do pudeł wszystko, co miało dla mnie jakąkolwiek wartość. Również mój ukochany gramofon. Przyznam – poczułam ogromny smutek na myśl, że nie będzie mi dane go używać, ale ponownie odezwał się głos, który mówił, że tak będzie dla mnie najlepiej. Gramofon kojarzył mi się z Damianem, więc jego miejsce było na dnie pudła.

Moje wrocławskie mieszkanie od sześciu lat stało puste. Zostawiłam zapasowe klucze miłej starszej sąsiadce z piętra wyżej, prosząc ją, żeby od czasu do czasu do niego zajrzała, podlała kwiaty i sprawdziła, czy wszystko w porządku. Miała do mnie dzwonić tylko wtedy, gdyby coś się działo. Na przykład pękła rura, było włamanie czy stała się jakaś inna tragedia. Zgodziła się. Nie chciała przyjąć ode mnie za to nawet złotówki. Czynsz opłacałam regularnie. Nie miałam w planach sprzedawać mieszkania. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Nie chciałam go też wynajmować, bo pewnie wiązałoby się to z potrzebą częstego przyjeżdżania do Wrocławia. I chociaż co roku po zakończeniu semestru obiecywałam sobie, że wpadnę na Dolny Śląsk przynajmniej na chwilę, żeby zobaczyć, w jakim stanie jest mieszkanie, to zawsze coś mnie przed tym powstrzymywało. Zawsze było coś ważniejszego do zrobienia. A w związku z tym, że sąsiadka nie odezwała się ani razu, nie miałam w sobie nawet odrobiny poczucia winy z tego powodu. Do głowy mi nie przyszło, że ta kobieta mogła z jakiegoś powodu przestać się interesować moim mieszkaniem, a tym samym ono od tylu już lat mogło stać zamknięte na cztery spusty i zamieszkane przez pająki.

Strasznie to naiwne, wiem. Ale też wygodne.

Matka zostawiła mi sporo gotówki. Początkowo nie chciałam z niej korzystać, bo to były brudne pieniądze, gdyż moja rodzicielka zarabiała jako dama do towarzystwa, o czym dowiedziałam się na kilka miesięcy przed jej śmiercią. Postanowiłam, że będę opłacać jedynie czynsz za wrocławskie mieszkanie. Nic więcej, chociaż to i tak cholernie godziło w moją dumę. Na swoje utrzymanie chciałam zarobić sama. Byłam bardzo zmotywowana. Może tydzień po przeprowadzce do Łodzi znalazłam pracę jako barmanka. Do dziś czuję wdzięczność za to, że zatrudnili mnie bez doświadczenia, i z ogromnym rozrzewnieniem wspominam to, ile dostałam tam napiwków i propozycji małżeńskich. Ile nieszczęśliwych historii miłosnych trafiło do mojego ucha i serca. Ile razy byłam świadkiem rozstań i powrotów. A potem, na trzecim roku studiów, spełniło się moje marzenie i dostałam się na płatny staż do jednej z lokalnych gazet. Po roku zatrudnili mnie na umowę o pracę. I chociaż nie byłam jeszcze pełnoprawną dziennikarką, jak się szumnie przedstawiłam Mileniu, to robiłam wszystko, żeby nią zostać.

Parzyłam najlepszą na świecie kawę, robiłam zakupy, odbierałam telefony, listy i paczki od kurierów, przychodziłam na nadgodziny, przygotowywałam prezentacje i materiały na cotygodniowe konferencje, dbałam o to, aby w drukarce był papier, a kiedy w końcu w zeszłym tygodniu pozwolili mi skrobnąć cztery zdania na przedostatnią stronę najbliższego numeru, prawie się posikałam ze szczęścia. To były najbardziej na świecie wypieszczone cztery zdania o lokalnym producencie karmy dla kotów. Oprawiłam je w ramkę i postawiłam na biurku.

Zadarłam głowę i spojrzałam na szyld przyczepiony do budynku. Moja Gazeta. Kiedyś zostanę tutaj naczelną.

– Cześć pracy! – powiedziałam radośnie i weszłam do środka.

Kiedy szłam przez główną salę, gdzie znajdowało się kilkanaście biurek, przy których siedzieli ludzie jakby przyspawani do krzeseł, czułam się, jakbym właśnie wygrała szóstkę w totka. Uwielbiałam tutaj być. To miejsce, energia pracujących tutaj ludzi, możliwości rozwoju – wszystko to dawało mi niesamowitego kopa do działania. Kochałam pisać.

– Weronika – usłyszałam za plecami głos.

Odwrociłam głowę i zobaczyłam Bartka. Był redaktorem w dziale sportowym. Przyjaźniliśmy się. Zawsze bawiły mnie jego prześmiewcze artykuły o sportowej stronie miasta. Nie miałam pewności, ale wydawało mi się, że nikt nie dostał od czytelników tylu pogroźek co on.

– Podrywasz mnie dla sportu? – zapytałam, kiedy bezceremonialnie wciągnął mnie do kuchni. To było jego ulubione powiedzonko. – Jeśli chciałeś się ze mną umówić, wystarczyło poprosić. – Trzasnęłam go w ramię i zaczęłam się śmiać.

– Zaraz nie będzie ci tak wesoło – powiedział, po czym wychylił się z kuchni i rozejrzał na wszystkie strony.

– A niby dlaczego? – zapytałam, gdy znowu na mnie spojrzał.

– Bo cię zwalniają.

– Słucham?!

Dobrze, że byłam przed poranną dawką kawy, bo ciśnienie momentalnie mi skoczyło. Poczułam uderzenie gorąca na twarzy, a serce zaczęło mi się tłuc w piersi. W powietrzu, poza zapachem sera pleśniowego, dało się też wyczuć kłopoty.

– Jak to zwalniają?

– Zwalniają cię – powtórzył. – Oficjalnie redukcja etatów.

– A nieoficjalnie?

– Córka naczelnego potrzebuje pracy. A że wie, jak włączyć czajnik bezprzewodowy i zamówić chińszczyznę na wynos, to naczelny uważa, że z innymi sprawami też sobie poradzi. – Spojrzał na mnie wymownie.

– To niech naczelny odda jej swój fotel! – warknęłam, a Bartek zatkał mi usta dłonią.

– Jak ktoś się dowie, że ci o tym powiedziałem, poza posadą stracę też zęby. Chcesz, żebym żuł gumę palcami?

Odepchnęłam jego dłoń i zapytałam:

– Skąd o tym wiesz? Kto ci powiedział?

– Takiej informacji nie sprzedam. Lubię cię, mała, więc uznałem, że powinnaś to wiedzieć wcześniej. Ja sam dowiedziałem się przed momentem. Wiem, ile radości sprawia ci przychodzenie tutaj. Kiedyś też tak miałem. Teraz mobilizują mnie tylko alimenty.

– Ale dlaczego zwalniamą akurat mnie? – zapytałam, w dalszym ciągu nie mogąc w to uwierzyć.

– Kogoś musieli. Zrobili losowanie. Tylko tym razem numerek nie był szczęśliwy dla ciebie.

– Powiedz, że to są żarty, Bartek. – Złapałam go za koszulkę i ścisnęłam ją z całej siły. Mój wzrok błagał go, żeby przyznał się, że mnie wkręca.

– Przykro mi, mała – odparł, kręcąc głową.

Wyszedł, a ja zostałam w kuchni sama. Piętnaście minut później wezwali mnie do gabinetu naczelnego.

Rozdział drugi



– Chodź tutaj, pocieszycielu mój – powiedziałam do kieliszka wypełnionego po brzegi wysokoprocentowym płynem. Połowa jego zawartości wylądowała na stole. Druga w moim przelyku.

– Bardzo wylewny jest ten twój przyjaciel – skwitował Bartek.

Siedzieliśmy w jednej z knajp na Piotrkowskiej i piliśmy alkohol. No dobrze. To ja byłam w tym duecie tą żalowaną jednostką, która topi smutki w napoju wysokowym, sądząc, że jedynie w taki sposób poradzi sobie z utratą pracy. Bartek patrzył na mnie wzrokiem pełnym litości. Popijał wodę. Nie pił alkoholu. Nigdy. Jego ojciec był alkoholikiem i zgotował mu w dzieciństwie traumę. Bardzo dobrze go rozumiałam, bo człowiek, który przyłożył swoją szorstką rękę do mojego wychowania, również nadużywał alkoholu, a po nim stawał się agresywny i urządził mi piekło.

Niemniej potrzebowałam się dziś utopić w alkoholu.

Pomimo tego, że Bartek nie towarzyszył mi w upijaniu się, to i tak byłam mu bardzo wdzięczna za to, że mnie nie ocenia i zechciał trwać przy moim boku w tym strasznym dniu. Może nie był to mój najstraszniejszy dzień, ale na pewno uplasował się w pierwszej piątce. Wyciągnęłam dłoń

po kolejnego szota. Wypiłam, nie przepiłam, skrzywiłam się, zapanowałam nad pieczeniem w przelyku i powiedziałam:

– Chcesz wiedzieć, co ja o tym wszystkim sędzę?

– No powiedz. Bardzo jestem tego ciekaw. – Nawet nie ukrywał rozbawienia.

– Konkurencja. Naczelný zobaczył we mnie silną konkurencję. Jestem pracowita, punktualna, dyspozycyjna, mam kapitalne pomysły i bardzo chcę się rozwijać. Ty wiesz, jak mu było przykro, kiedy mówił, że musi mi dać wypowiedzenie? I nawet jasnie pan pozwolił mi wykorzystać zaległy urlop! Chyba liczył, że zacznę go całować po dupie w ramach podziękowania za taką łaskawość! – Prychnęłam na wspomnienie przemowy, którą uraczył mnie naczelný Boberek. – Powiedział, że jest mu nieprawdopodobnie smutno z tego powodu i że gdyby to tylko od niego zależało, nigdy w życiu nie podjąłby takiej decyzji, ale musiał, bo góra naciskała. I choćby bardzo chciał, to nie może z tym nic zrobić. Przecież każdy głupi wie, że „góra” to on. A jak nie on, to jego żona.

– Wiesz, że powiedziałaś mi o tym już jakieś osiem razy? – przypomniał mi przyjaciel.

– Ta praca jest moją terapią – jęknęłam.

– Ta praca była twoją terapią – poprawił mnie Bartek.

Poprawił też pilotki na nosie, a w zasadzie zsunął je, żeby lepiej przyjrzeć się pośladkom kelnerki, która akurat przechodziła obok naszego stolika. Jakie to było dla niego typowe... Uważał, że przystojna gęba, powleczone kilkudniowym zarostem, obliguje go do braku jakichkolwiek zahamowań.

– Bartek! Czy ty możesz przestać się gapić na pośladki tej kobiety? To zakrawa na molestowanie! Bardzo panią przepraszam za tego ordynusa – zwróciłam się do kelnerki. Moje oburzenie wcale nie było udawane. – Po prostu wyprowadziłam

go dziś po raz pierwszy od kilku dni na spacer. Jego reakcja to szok. Bardzo możliwe, że za chwilę zacznie merdać do pani ogonem.

Mój towarzysz wcale się nie zawstydził. Uniósł jedynie szklankę z wodą w geście toastu dla mojej bezczelności. Sam mnie tego nauczył.

– Ja tylko podziwiam kolejny cud świata – powiedział, posyłając zaczerwienionej kelnerce przeciągłe spojrzenie.

Szłam o zakład, że nim stąd wyjdziemy, będzie miał jej numer. Pieprzony Antonio Banderas z polskim paszportem. Jego mama była Hiszpanką i to po niej odziedziczył nieprzeciętną urodę. W zasadzie wyglądał jak Hiszpan, więc kiedy otwierał usta i wypowiadał się płynną polszczyzną, bez cienia akcentu, ludzie byli w szoku. Połączenie słowiańskiego temperamentu z bajerem rodem z brazylijskiej telenoweli było znakiem rozpoznawczym Bartłomieja Frycza.

– Ty masz chyba za dużo wolnego czasu i za niskie alimenty. – Pokręciłam głową i podniosłam wzrok. – Nie przyszliśmy tutaj po to, żebyś namierzał matkę dla swojego kolejnego dziecka. Przyszliśmy tutaj po to, żeby mi współczuć. Skupmy się więc na tym.

– Żadnych więcej dzieci. Wazektomia *made my day*.

– Akurat za to mogę wypić. Żadnych dzieci – zgodziłam się z nim, a potem spojrzałam na parę siedzącą kilka stolików dalej.

Westchnęłam. Zwolnienie z pracy uzmysłowiło mi, że poległam na wielu płaszczyznach. Najbardziej jednak na tej uczuciowej.

Dotarło do mnie, że jestem zazdrosna o to, że ludzie, na których właśnie patrzę, są w sobie bardzo zakochani. Bo to naprawdę było widać. Ona uśmiechała się do niego jakoś

tak inaczej, niż zazwyczaj ludzie się do siebie uśmiechają, a on położył dłoń na jej policzku. Kobieta przechyliła głowę, mężczyzna zaś posmyrał ją małym palcem po nosie. Słodko do zerzygu, a ja i tak byłam o to zazdrosna. Sama nie potrafiłam się zakochać i podświadomie miałam o to żal do innych ludzi. Nie umiałam być z kimś dłużej niż do pierwszego seksu, a i tego w ciągu minionych kilku lat doświadczyłam raptem kilka razy. Porównywałam każdego faceta, z którym mogło połączyć mnie coś większego, do Damiana. Jaki był efekt tych porównań? Nikt nie miał lazurowych oczu otoczonych firaną grubych rzęs. Nikt nie był tak inteligentny. Nikt nie dał mi swojej bluzy, kiedy moje spodnie przesiąkły plamą od okresu. Nikt nie całował mnie tak jak on. Od sześciu lat żyłam z widmem mojego pierwszego chłopaka. Nie wiem tylko, czy było to bardziej żalosne, czy dołujące.

– Nie udaje mi się – powiedziałam, cały czas obserwując tę parę.

Teraz trzymali się za dłonie i patrzyli na siebie tak, jakby mieli się pożreć. Mój wyobrażony palec zaczął wędrować w stronę otwartych ust. O dziwo, mdłości, które poczułam, nie miały nic wspólnego z wyobraźnią.

– Z czym ci się nie udaje? – zapytał Bartek. – A może mam zapytać o to z kim? – Zauważył, na kogo się gapię.

– Chodzi właśnie o to, że z nikim. – Spojrzałam na niego. – Z nikim mi się nie udaje. Każdy mój związek to porażka. Począwszy od tego pierwszego.

Wiedział o Damianie. Bartek wiedział o wszystkim, co mi się przydarzyło w życiu.

– Facetów z Tindera też klasyfikujesz jako porażki?

– Przypomnij mi: dlaczego ja cię toleruję? – zapytałam go. Nikt nie potrafił poprawić mi nastroju tak jak on.

– Bo jestem twoim mentorem. I pamiętaj, że ze mną by ci się udało, tylko nie pociągnęłaś tematu. Niczego innego też nie chciałaś ciągnąć.

– Uznaliśmy, że jestem dla ciebie jak szóstka w totka. Taka trudna do zdobycia.

Jednak oboje wiedzieliśmy, że tak naprawdę Bartek jest dla mnie – jak by to ująć, żeby nie skłamać – za bardzo doświadczony przez życie. Ja miałam dwadzieścia pięć lat. On trzydzieści osiem i dwójkę dzieci. Każde z inną kobietą. Nie tego oczekiwałam dla siebie. To po pierwsze. Po kolejne, wiedziałam, że on sobie w tym momencie żartuje. Od samego początku naszej znajomości traktował mnie jak młodszą siostrę. Owszem, rzucał do mnie seksistowskimi tekstami, ale moja wrażliwość jakoś specjalnie nie brała ich do siebie.

– Właśnie. Jesteś jak szóstka w totka. Nieosiągalna, a już na pewno trudna do zdobycia. Ale miej świadomość, że gdybym nie był tak leniwy, dawno myłabyś okna w moim mieszkaniu, a potem w ramach relaksu zabierałbym cię na lody. – Jego dumny uśmiech jednoznacznie sugerował, jakie byłyby to lody.

– I tak myję ci okna. Dobrze płacisz.

– Myjesz mi okna, bo lubię patrzeć na twój tyłek.

– Ty lubisz patrzeć na wszystkie tyłki. Ale tylko za paterzenie na mój płacisz.

– To fakt. A z faktami się nie dyskutuje. No to co teraz?

– Teraz tutaj? Czy „teraz” po utracie pracy moich marzeń? – odparłam tak smutnym głosem, że aż się wzruszyłam.

– Mała, kiedy ty w końcu zrozumiesz, że założyłaś sobie klapki na oczy? Napaliłaś się na to dziennikarstwo jak szczerbaty na suchary. – Bartek powiedział coś, co słyszałam od niego praktycznie od pierwszego dnia naszej znajomości.

Wiedziałam, że nie mówi tego złośliwie ani po to, żeby zniechęcić mnie do kariery dziennikarki. Mówił to po to, żebym poszerzyła swoje horyzonty i spróbowała sił w czymś innym, jego zdaniem lepiej płatnym. A przecież ja doskonale wiedziałam, czego chcę od życia. To ja znałam siebie najlepiej.

– Nie pragnę niczego tak, jak pisać do gazety. Od zawsze o tym marzyłam – przypomniałam mu, bo chyba zapomniał.

– Jeśli coś ma się wydarzyć, to się wydarzy. Nie zmuszaj życia do tego, aby ci wiernie służyło i spełniało twoje zachcianki. Nie zawsze to, czego chcesz, jest tym, czego tak naprawdę potrzebujesz – uraczył mnie jedną ze swoich mądrości, której wcale nie potrzebowałam.

– Bartek, ja doskonale wiem, czego chcę. Jak będę potrzebowała od ciebie rady, to o nią poproszę.

– Ty nigdy nie potrzebowałaś moich rad.

– I dobrze na tym wyszłam.

Z jego miny wynioskowałam, że ma inne zdanie niż ja.

– Kochasz pisać, prawda? – Nie musiałam mu odpowiadać na to najbardziej retoryczne z retorycznych pytań na całym świecie. – Rób więc to, co sprawia ci radość. Pisz. Ale niekoniecznie do gazety. Jest wiele innych możliwości.

– Znowu próbujesz mnie namówić do założenia bloga? To bez sensu. Ja chcę pisać do gazety. Chcę, żeby dowodem potwierdzającym istnienie mojej pasji była fizyczna bytność w świecie. Czyli na papierze. A nie w internecie, internet mnie mierzi. Nie jestem człowiekiem social mediów. Poza tym chcę, żeby moje artykuły czytali ludzie świadomi, a nie przypadkowy ktoś, kto trafi na moją stronę internetową, bo będzie szukał przepisu na jabłecznik.

– Każdy czytelnik jest ważny. Każdy jeden. A ten przypadkowy może się okazać bardzo wiernym. No i nie ukrywajmy: świat zmierza właśnie w tym kierunku. Internetu.

– Ale ja nie chcę w pocie czoła pracować nad swoją społecznością w internecie. Nie chcę z mozołem budować popularności i koniec końców zostać z tysiącem followersów, z czego jedna trzecia będzie nieaktywna. Tak, wiem. W dupie mi się poprzewracało. Ale mnie to nie wystarcza. Zasłużyłam na miejsce w naszej gazecie. Spędziłam tam blisko trzy lata. I co dostałam w zamian? List polecający, którym mogę sobie tyłek podetrzeć, bo nie chcę pracować nigdzie indziej. Pokochałam to miejsce, a oni potraktowali mnie tak niesprawiedliwie.

Miałam w sobie mnóstwo żalu po tym zwolnieniu i niestety – wypity alkohol nie był w stanie go ze mnie wypłukać.

– Nic nie jest nam dane na zawsze – powiedział Bartek.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się o tym przekonałam.

Przed moimi oczyma momentalnie stanęła Sylwia, a moja dłoń automatycznie chwyciła za sekretnik, który przyjaciółka podarowała mi na krótko przed śmiercią. W środku znajdowało się jej zdjęcie. Pojawiły się też wyrzuty spowodowane tym, że od sześciu lat nie odwiedziłam jej grobu. W chwilach, w których dopadała mnie słabość, poczucie winy strzelało we mnie jak w kaczkę i przypominało, że jestem fatalną przyjaciółką. Bo Sylwia na pewno odwiedzałaby mój grób, gdybym umarła. Przynosiłaby mi świeże kwiaty i zapalała znicze. Siedziała na ławce i opowiadała o tym, jak minął jej dzień. Dzieliła się swoimi troskami i radościami. Na swoją obronę miałam to, że myślałam o niej codziennie. Naprawdę codziennie. Zresztą nie tylko o niej.

– Pamiętasz, jak robiłem eksperyment społeczny? – zapytał mnie Bartek.

– Który? Bo trochę ich było.

– Ten, w którym straciłem wzrok.

– Ten, w którym kupiłeś sobie białą laskę i przez rok jeździłeś komunikacją miejską na gapę, bo uznałeś, że zaoszczędzisz trochę kasy? Tak, pamiętam go.

– Było zupełnie inaczej, niż to przedstawiasz.

Zaczął się śmiać, bo było dokładnie tak, jak powiedziałam.

– I co w związku z tym eksperymentem chciałeś mi unoczyć?

– Ano to, że zawsze możesz robić to, na co masz ochotę. Tylko inaczej, niż początkowo zakładałaś, a efekty mogą cię bardzo pozytywnie zaskoczyć.

Mówiąc to wszystko, cały czas bujał się na krześle, a ja miałam w tym momencie nieprawdopodobną ochotę na to, żeby szturchnąć stopą jedną z dwóch nóg, które znajdowały się na podłodze. Byłam bardzo ciekawa efektów. I on o tym wiedział.

– Opowiem ci kawał – powiedział Bartek. – Pijany facet wraca do domu, a jego wkurzona żona pokazuje mu zegarek i mówi, że łajdak ciągle się tylko gdzieś szlaja. Na to on odpowiada: „Wielkie mi halo. Jak mój ojciec wracał do domu, to matka pokazywała mu kalendarz, nie tylko zegarek”.

– To wspomnienie z twojego pierwszego małżeństwa czy drugiego? – zapytałam, kiedy już skończyłam się śmiać. Czulałam ogromną wdzięczność za to, że stara się poprawić mi humor.

– Nie powiem ci. Będziesz się nad tym zastanawiała do końca życia.

– Ale kiecka weszła!

Aż zagwizdałam na widok eleganckiej blondynki w czerwonej sukience, która pojawiła się w knajpie. Tuż za nią do lokalu wszedł mężczyzna. Ledwo go zobaczyłam, wciągnęłam powietrze i chyba też musiałam zrobić dziwną minę, bo Bartek zapytał, czy wszystko w porządku. Wydawało mi się, że mam zwidy. Mężczyzna również na mnie spojrzał. Nie miałam pewności, czy mnie poznał, ale kiedy zdziwienie widoczne na jego twarzy zmieniło się w uśmiech, wiedziałam już, że tak. Zaczął się zbliżać do naszego stolika, a ja wstałam. Bartek patrzył to na mnie, to na niego. Był zaciekawiony.

– Pan dyrektor Molęda? – zapytałam, chociaż odpowiedź była przecież oczywista.

– Weronika! – Rozłożył dłonie w tak naturalnym geście, że nie mogłam tego zignorować.

– Jejku! – zapiszczałam, ruszyłam z miejsca, potknęłam się o krzesło i podbiegłam do niego, po czym mocno go przytuliłam. To było nieprawdopodobnie miłe spotkanie z przeszłością.

Rozdział trzeci



Dłoń tak mi drżała, że miałam problem z włożeniem klucza do zamka, żeby go przekręcić. Nie wiem, ile wykonałam prób, aż w końcu drzwi się otworzyły. To znaczy otworzyła je Milena z drugiej strony.

– Gdzie byłaś? Martwiłam się o ciebie. Zazwyczaj wracasz po szesnastej. Jest dwudziesta pierwsza – powiedziała głosem tak spokojnym, że w życiu bym się nie spodziewała, że się o mnie martwiła.

– Z pracy mnie zwolnili, a potem poszłam napić się z moim przyjacielem, a potem spotkałam starego znajomego i się zagadaliśmy. Później łąziłam bez celu po mieście, bo nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Chciałam się też rzucić z mostu, ale żadnego nie ma w pobliżu. I bardzo cię przepraszam za wczoraj. Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło. I skąd ty wiedziałas przede mną o tym, że ja nie mam już pracy? Jak to możliwe? Przecież to jest niemożliwe! Niemożliwe, prawda? I nie wyrzucisz mnie z mieszkania, wiedząc, że straciłam pracę? Nie zrobisz tego? Milena, skąd ty, u licha, wiedziałas, że ja straciłam pracę?

Stałam w drzwiach niczym świadek Jehowy i zasypywałam ją nieskładnymi pytaniami. W dalszym ciągu nie dowie-

rzałam, że ona wiedziała, że wyrzucą mnie z pracy, jeszcze zanim to zrobili. To jakaś czarna magia.

– Karty mi powiedziały. – Wzruszyła ramionami i podrep-tała do kuchni.

Kiedy weszłam do mieszkania, poczułam intensywny za-pach kadzidełek. Trochę mnie zemdliło. Zaczęłam ściągać buty. Moim marzeniem było paść na łóżko i obudzić się naj-wcześniej za rok. Spotkanie z dyrektorem Molędą, który – jak się okazało – ciągle rządził moim starym liceum, kosztowa-ło mnie naprawdę dużo siły. Rozmawiałam z nim długo. Za długo. Bo gdybym rozmawiała krócej, na pewno nie złożył-by mi tej nieprawdopodobnej propozycji, którą zaczęłam, o zgrozo, rozważać.

– Długo mam na ciebie czekać? – usłyszałam zniecierpli-wiony głos Mileny dobiegający z kuchni, więc tam poszłam.

– Milena, ja nie chcę, żebyś mi wróżyła – powiedzia-łam, kiedy stanęłam w drzwiach pomieszczenia.

– Jesteś pewna, że nie chcesz? Czy może boisz się tego, co mogę ci powiedzieć? – zapytała, tasując karty.

Patrzyła na mnie, a ja spoglądałam na kartoniki, które fruwały w jej dłoniach. Przekładała je z wprawą. Zielone oczy mojej współlokatorki wysyłały mi bezgłośnie zaproszenie do tego, żebym jej towarzyszyła w podróży do świata magii.

– A co mi tam, raczej nic gorszego niż to, co mnie dziś spotkało, już mnie nie spotka. – Machnęłam dłonią i usiad-łam przy stole.

Zdążyłam wytrzeźwieć. Teraz to już tylko byłam w szoku. Raz, bo Milena i jej przepowiednia. Dwa, rozmowa ze Stefa-nem Molędą, a konkretnie jej finał. Mój mózg przypominał sieczkę, więc gdyby siedząca obok mnie wróżka kazała mi

wymienić pięć stolic europejskich, zapewne znalazłyby się pośród nich Andora, Teksas, Kambodża i Zgierz.

– Przełoż – poinstruowała mnie Milena.

Kiedy to zrobiłam, zaczęła układać, a potem przekładać karty na stole. Co chwilę marszczyła czoło i co jakiś czas zakładała kosmyk niesfornych włosów za ucho. Podczas gdy ona zamierzała przepowiedzieć mi przyszłość, ja oparłam zgietą w łokciu rękę na stole, żeby z kolei na dłoni oprzeć brodę. Myślałam o przeszłości. Myślałam o tym, jak dziwny był ten dzień. Myślałam również o tym, dlaczego dyrektor Mołęda nie wszedł do knajpy obok. Albo tej po drugiej stronie ulicy. Dlaczego wszedł akurat do tej, w której byłam ja?

Gdyby...

– Jesteś na rozstaju dróg – usłyszałam głos Mileny i wytężyłam umysł.

Po moim wczorajszym wybuchu byłam jej winna przyzwoite zachowanie i nawet jeśli to, co za moment od niej usłyszę, mnie rozbawi, musiałam zachować powagę. Bo ona podchodziła do swojego wróżbiarstwa bardzo poważnie. Tak poważnie, że na drzwiach mieszkania wisiała tabliczka, na której widniał napis: „Madame Milena”.

– Milena? – weszłam jej w słowo. – Skąd ty wiedziałaś, że stracę robotę? Ale tak serio? Znasz kogoś w mojej gazecie? A może znasz kogoś, kto zna kogoś, kto tam pracuje? Ktoś ci o tym powiedział?

Popatrzyła na mnie i postukała paznokciem w jedną z kart leżących na stole. W jej oczach dostrzegłam dezaprobatę i coś, co wyglądało mi na raczej pozbawione otuchy: „Ależ z ciebie głuptas, Weronika. Karty mi to powiedziały. Nie chcesz? Nie wierz. Twoja sprawa. Ja wiem swoje, ty swoje. I niech tak zostanie”.

– Masz wybór – odezwała się. Patrzyła na karty. Zrobiła kilka rzędów, w każdym z nich znajdowały się cztery prostokąty. Wskazała na pierwszy i powiedziała: – Możesz jechać tam, gdzie wielka woda zabrała ludziom dobytek życia, i pozwolić, aby szczęście samo cię znalazło, albo zostać tutaj, próbując za wszelką cenę spełnić swoje marzenia. I z tego, co widzę, to raczej ci się to nie uda, niż uda, bo miasto, w którym obecnie żyjesz, nie ma ci już nic więcej do zaoferowania, chociaż ty z całych sił pragniesz, żeby było inaczej. – Milena spojrzała na mnie uważnie i dodała: – Nie myśl sobie, że mówię to dlatego, że mam kogoś chętnego na twój pokój albo chcę się ciebie pozbyć, bo straciłaś pracę i obawiam się o to, że nie będziesz w stanie płacić czynszu. Dobrze mi się z tobą mieszka. Jesteś spoko. Masz dobre serce. Karty mi powiedziały, że jak chcesz, to możesz zostać. Ale mówią też, że będziesz się tutaj bardzo męczyła. Jedyne, czego doświadczysz, mieszkając w tym miejscu, to pozorne szczęście.

Milczałam. Było mi dziwnie. Patrzyłam na karty. Nie wierzyłam w to, co usłyszałam. A może jednak wierzyłam? Już sama nie wiedziałam, co mam myśleć. W drugim rzędzie, na który wskazywała teraz Milena, znalazła się dama pik, a pod nią po kolei król i dama kier oraz as kier.

– Dom. – Milena wskazała na ostatnią kartę. – Ta karta mówi, że możesz wrócić do domu. Ale nie musisz. Pojawi się też w twoim życiu mężczyzna. Ma skrzywdzoną duszę. Zadał sobie okrutną karę. Czuje się jednocześnie winny, wściekły i rozżalony. – Milena wskazała na pierwszą kartę, która znalazła się nad królem kier, a potem na tę, która była pod nim, i dodała: – Wcale nie musi się tak czuć. Chce tego.

W mojej głowie momentalnie pojawił się obraz Damiana. Chyba zwariowałam, ale na ułamek sekundy wmówiłam

sobie, że to właśnie o niego chodzi. Wmówiłam sobie też, że jak wrócę do Wrocławia, to Damian będzie mnie chciał. Poczułam niesłychanie miłe ciepło, które rozlewało się falą po moim ciele. Było mi tak dobrze. Najprawdopodobniej zaczynałam wariować, bo oczyma wyobraźni widziałam, jak Damian prowadzi mnie do ołtarza. Stoimy nad brzegiem morza i składamy sobie przysięgę małżeńską w otoczeniu najbliższych krewnych. Te obrazy były tak realne, jakbym oglądała film z naszego ślubu.

Głos Mileny wyłączył odtwarzanie i sprowadził mnie na ziemię.

– W twoim życiu będzie dużo zawirowań. – Pokazała na kolejny rząd kart. – Prawdę mówiąc, każdego dnia możesz mieć inne zdanie w tym samym temacie. To może być frustrujące. Tego akurat nie wyczytałam z kart. Wzięłam to na logikę, bo czasem sama jestem bardzo rozchwiana emocjonalnie. Staniesz też przed nowymi wyzwaniem i może ci się wydawać, że im nie sprostasz. Będziesz się bała podjąć rękawicę.

Spojrzała na mnie. Nie wiem, czy to, co po chwili wypłynęło z jej ust, zobaczyła w kartach, czy może jednak moja mina skłoniła ją do wypowiedzenia następujących słów:

– A może ty już wiesz, jakie to wyzwania? – zapytała.

Westchnęłam i spuściłam głowę. Nie miałam pojęcia, jak czuje się ktoś, komu robią lobotomię, ale możliwe, że dokładnie tak, jak ja w tym momencie.

– Czyli wiesz. – Milena wskazywała na kolejne rzędy kart. – Tajemnica przestanie być tajemnicą. Kłamstwa wyjdą na jaw. Odwiedzi cię też stara przyjaciółka. Poniekąd. Bo to niby ona, a jednak nie ona. Trudno stwierdzić. Bardzo ciekawe. Będzie też dużo milczenia. Mało słów, ale wiele miłości. – Uśmiech-

nęła się. – Będzie mnóstwo miłości. Ale nie myśl sobie, że czeka cię kraina mlekiem i miodem płynąca. Śliska żmija jest w domu. Będzie syczeć, będzie kąsać, będzie truć, będzie bronić swojego terytorium.

Kiedy tak jej słuchałam, miałam w sobie naprawdę wiele sprzecznych odczuć. Najsilniejszym było niedowierzenie. Ale gdzieś z tyłu głowy smyrała mnie ciekawość. Co prawda była raczej nieśmiała, jednak coraz bardziej zaintrygowana słowami mojej współlokatorki. Mój mózg łączył słowa Mileny z propozycją, a w zasadzie prośbą dyrektora Molędy, który chciał, żebym wróciła do Wrocławia. Kiedy się dowiedział, że zwolnili mnie z pracy – oczywiście od Bartka, bo ja nie miałam zamiaru puścić pary z gęby – złożył mi zaskakującą ofertę. Słuchając go, miałam wrażenie, że jego oczy po prostu błagają mnie, żebym mu pomogła. On, w przeciwieństwie do mnie, był wręcz pewien, że nie spotkaliśmy się przez przypadek, o czym powiedział mi kilka razy. Jego zdaniem to był znak od wszechświata.

– Boże! Dlaczego on nie wszedł do innej knajpy? – wypaliłam.

– Ale kto? – zapytała Milena.

Po chwili ociągania opowiedziałam jej o wszystkim. Nie usłyszałam zdziwienia, żadne niemożliwe słowo nie wypłynęło też z jej ust. Po prostu patrzyła na mnie ze stoickim spokojem, a kiedy już skończyłam zdawać jej relację, uniosła jedną z kart, pomachała mi nią przed oczyma i powiedziała:

– Serio? I ty w dalszym ciągu potrzebujesz potwierdzenia moich słów? Dziewczyno, życie na ciebie czeka! Przeznaczenie się o ciebie dopomina! Los daje ci szansę na szczęście, co prawda okupione łzami i wyrzeczeniami, ale koniec końców

możesz go doświadczyć! Nie jest oczywiście powiedziane, że doświadczysz. Wszystko w twoich rękach. A ty co? Boisz się? Boisz się, że nie sprostasz? Boisz się spotkać z przeszłością? A wiesz, dlaczego ona się o ciebie upomniała? Bo jej nie zakończyłaś. Bo nie tak miało być. Proszę cię, nie bądź kimś, kto potrzebuje dowodu na dowód.

– Nie wierzę, że to mówię, ale chyba ci wierzę. To, co powiedziałaś o mojej pracy. I wszystko inne. – Z wrażenia musiałam uderzyć się otwartą dłonią w czoło. – Milena, gdzie ty się tego nauczyłaś?

– Prawdę mówiąc, nigdzie – powiedziała, wzruszając ramionami. – Nie wiem skąd, ja po prostu wiem pewne rzeczy. Możesz mi wierzyć albo nie, ale nim zacznę czytać z kart, mam w głowie pustkę. Jednak z chwilą, w której ktoś przełoży talię i wyrazi szczerą chęć, abym odczytała mu przyszłość, zaczynam widzieć obrazy i słyszeć słowa, czasem nawet czuję zapachy. Kiedyś się tego bardzo bałam. Wstydziłam. W zasadzie to myślałam, że jestem niespełna rozumu. Nikomu o tym nie mówiłam. Ale im bardziej przed tym uciekałam, tym większy galimatias panował w mojej głowie. I wyobrażałam sobie, że pewnego dnia weszłam do sklepu w Lublinie. Antykwariat. Magiczne miejsce. Niepozorne, ale pełne skarbów. Nie kupiłam żadnej książki. Prawdę mówiąc, to nawet nie wiem, dlaczego weszłam akurat tam. Na jednej z półek leżała talia kart. – Milena zebrała swoje karty ze stołu i zaczęła je składać. – Ta talia. Musiałam ją mieć. Jakby te karty do mnie mówiły, żebym je stamtąd zabrała. Tak, wiem... To kwalifikuje się na postawienie diagnozy w gabinecie psychiatrycznym. Ale wiesz co? Mam gdzieś to, że ludzie biorą mnie za wariatkę. Wiem, co czuję, wiem, co widzę, i wiem,

w jakim kierunku zmierzam. Jeśli ktoś chce towarzyszyć mi podczas tej podróży, bardzo proszę. Droga jest szeroka.

– Jest mi wstyd. Nie miałam pojęcia, że te karty są dla ciebie takie ważne. Gdybym wiedziała, nie zrzuciłabym ich ze stołu – zaczęłam się kajać.

– No coś ty – powiedziała. – Przecież ja bawię się nimi czasem w motylki. – Na dowód leciutko zgięła talię i wypuściła ją w górę.

Karty fruwały nam ponad głowami, opadały na stół, podłogę i nasze kolana. Na moich znalazły się dwie. Widziałam tylko ich tył, nie wiedziałam więc, które to są.

– Pokaż, co tam masz – powiedziała Milena, wyciągając do mnie dłoń.

Podawałam jej karty, czując przyjemną ekscytację. W dalszym ciągu nie miałam jednak pojęcia, co znajduje się na odwrocie. Milena już wiedziała. Spojrzała na mnie i zaczęła się śmiać, a potem przesunęła w moją stronę obie, zwrócone rysunkami w górę.

Król i królowa kier. Pojęcia nie miałam, co to znaczy, ale kier zawsze kojarzył mi się z miłością. Nie byłam jednak aż tak naiwna, aby wierzyć, że gdy wrócę – to znaczy jeśli wrócę do Wrocławia, bo przecież jeszcze nie podjęłam decyzji – spotkam się z Damianem i nasze uczucie na nowo rozkwitnie. A może okaże się, że ja go wcale już nie kocham? Że od tylu lat męczy mnie tylko jakieś głupie wyobrażenie zakochanej nastolatki, którą przecież dawno nie jestem?

„Zawsze będę cię kochała” – tak powiedziałam do niego na pożegnanie sześć lat temu, kiedy kazał mi zamknąć za sobą drzwi i już więcej ich nie otwierać. Moja duma bardzo wtedy ucierpiała. Gotowa byłam mu oddać całą siebie,

byleby tylko mnie chciał. Ale on nie chciał. No a ja? Przez te wszystkie lata bez niego dorosłam, zrobiłam się bardzo pewna siebie. Przestałam też być ofiarą, przestałam prosić się o uwagę. Ale... No właśnie, to nieszczęsne „ale”, które mieszało mi szyki.

Cały czas o nim myślałam.

★

Leżałam w swoim łóżku oparta o ścianę i z telefonem w dłoni przeglądałam Facebooka. Moja bytność na tym profilu była tajna. Wszystko skrzętnie ukrywałam przed światem. Nie potrzebowałam mieć tysiąca znajomych i kilkuset polubień pod każdym wpisem. Moje zdjęcie profilowe przedstawiało Coco Chanel. Nazwę również zapożyczyłam od projektantki. Miałam wśród znajomych raptem sto osób. Każdą z nich znałam osobiście, nie – jak to często bywało – wirtualnie. Nie było jednak pośród nich nikogo z Wrocławia. Nikogo z dawnego życia.

Jeśli coś sobie postanowiłam, twardo trzymałam się swojej decyzji. I właśnie od momentu wyjazdu z mojego rodzinnego miasta ani razu nie weszłam na profil Damiana. Determinacja, z jaką początkowo powstrzymywałam się przed inwigilowaniem go, była godna pozazdroszczenia. Wyćwiczyłam się w niej do tego stopnia, że w realnym życiu konsekwentne trwanie przy swoim zdaniu nie sprawiało mi żadnych problemów. Mało tego, podczas spotkania z dyrektorem Molędą nie zapytałam o nikogo z Radomskich. Nawet o Igora. Pan Stefan albo wyczuł, że nie chcę przywoływać tych wspomnień, albo zrobił to z jakiegoś innego powodu, ale ani razu nie poruszył tematu swoich krewnych.

Po blisko sześciu latach, piętnastego maja dwa tysiące dwudziestego drugiego roku, w imieniny Izydora, Nadziei i Zofii, złamałam się i okazałam słabość – weszłam na profil mojego pierwszego chłopaka, Damiana Radomskiego. Pewnie gdybym właśnie nie leżała na łóżku, tylko stała na środku pokoju pozbawionego szafy, którą Milena obiecała mi wsta-
wić, choć stwierdziła też, że w sumie, skoro możliwe, że się wyprowadzę do Wrocławia, nie ma sensu wydawać na nią kasy, upadłabym. Nie byłam zła. Nie byłam wściekła. Nie byłam też rozgoryczona tym, co zobaczyłam. Poczułam się oszukana. Po prostu oszukana.

Wylączyłam telefon i odłożyłam go na stolik. Położyłam się na boku i wcisnęłam dłoń pomiędzy uda. Zacisnęłam mocno powieki, ale to nie powstrzymało łez – zaczęły ciurkiem płynąć po moich policzkach. Decyzja o tym, czy pojedę do Wrocławia, właśnie została podjęta.